

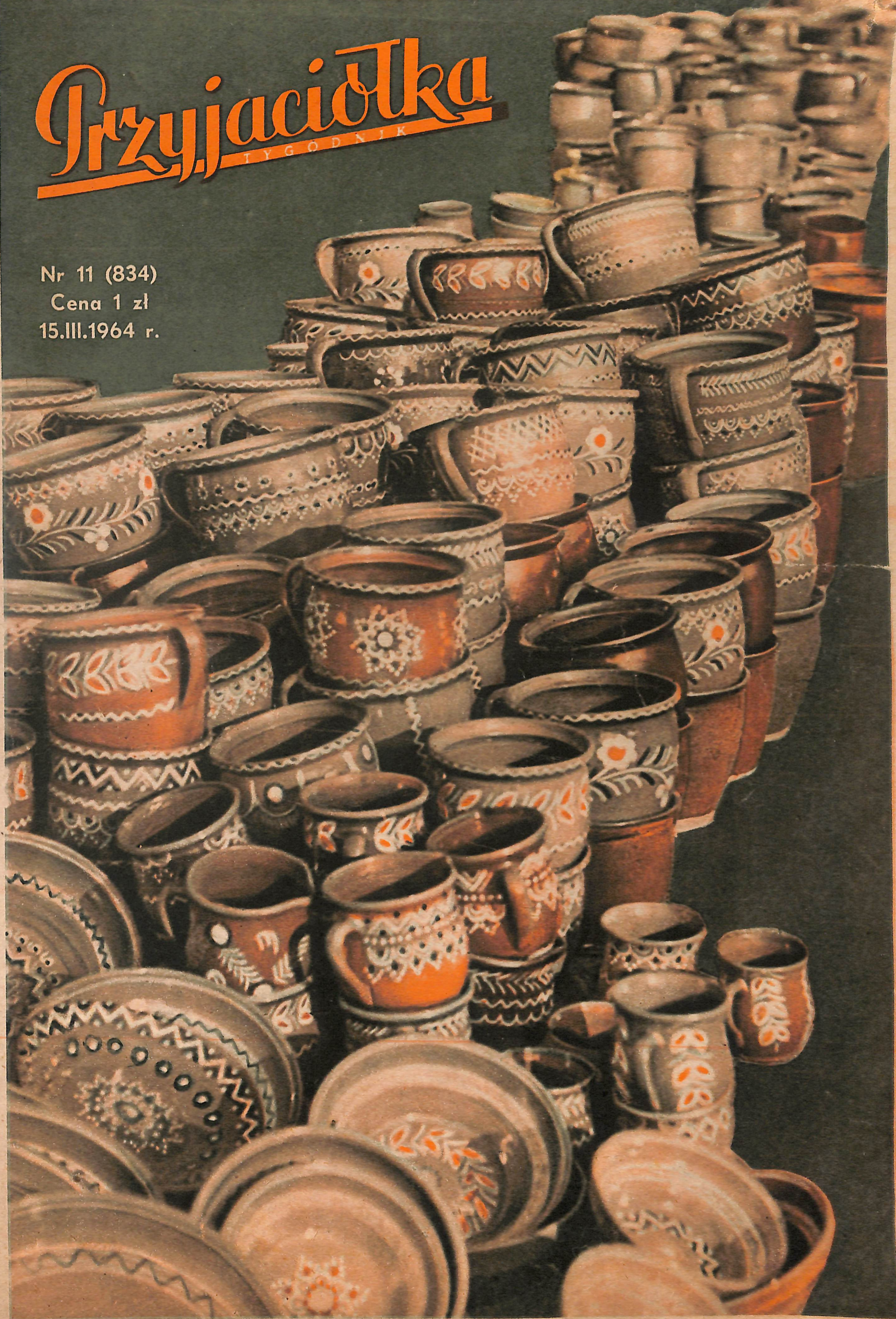
Przyjaciółka

TYGODNIK

Nr 11 (834)

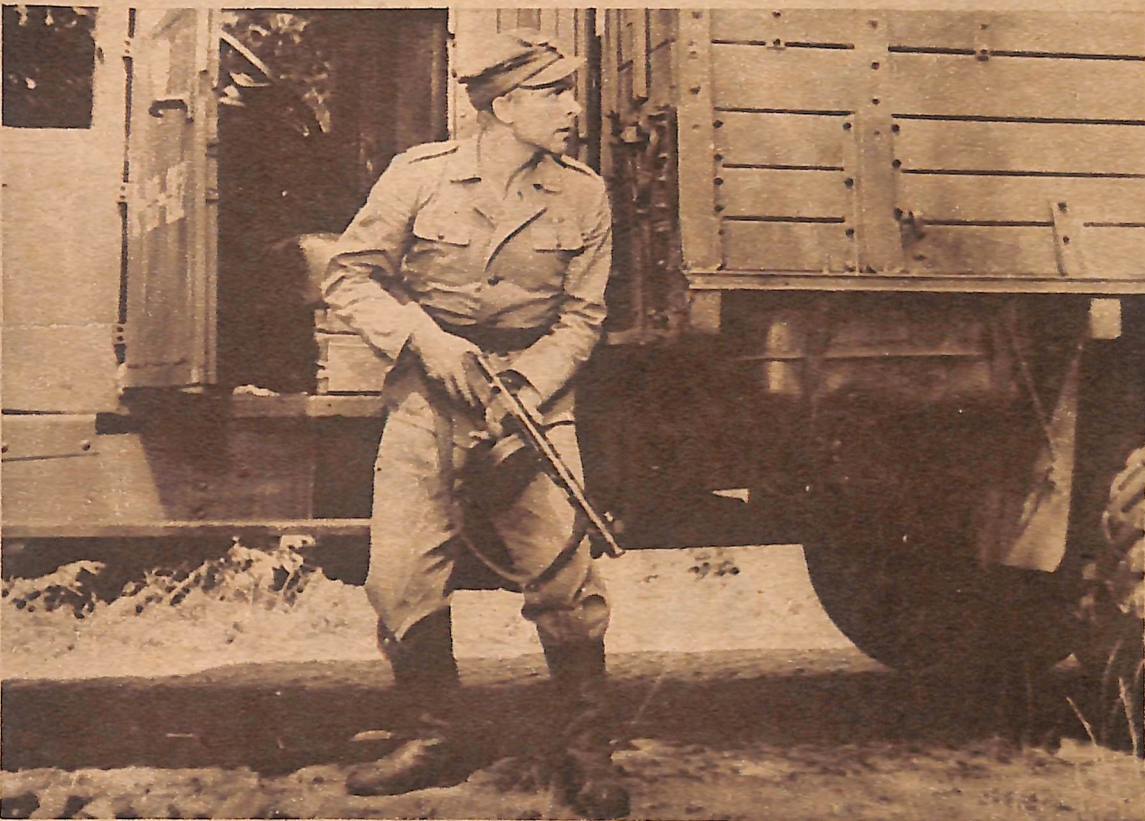
Cena 1 zł

15.III.1964 r.





Beata Tyszkiewicz w roli Rutki i Irena Laskowska jako Marta.



Wojciech Siemion w roli kaprala Naroga.



Aleksander Fogiel w roli radzieckiego oficera Milutina — stworzył świetną kreację.



Główną rolę — kapitana Sowińskiego gra Stanisław Mikulski.

Żuławy dzięki swym łąkom i pastwiskom sprzyjającym rozwojowi hodowli nazywa się „krajem mlekiem płynącym”. Mleko to na miejscu przerabia się m. in. w smaczne sery i twarożki, stanowiące jeden ze stałych składników wyżywienia na wczasach.

W pobliżu Gdańska czynne są zmechanizowane zakłady mleczarskie: w Cedrach Małych i w Żuławkach. Produkują one miesięcznie ok. 25 ton sera twarożku.



OPOWIEŚĆ FILMOWA

SKAPANI W OGNIU

Nowy polski film pt. „Skapani w ogniu” wchodzi na ekrany już zaszczytnie wyróżniony. Jego twórcy: reżyser Jerzy Passendorfer i operator Antoni Nurzyński otrzymali nagrodę Ministra Obrony Narodowej. Scenariusz napisał Wojciech Żukrowski według własnej powieści pod tym samym tytułem.

„Skapani w ogniu” to szeroka panorama wydarzeń, które działy się na Ziemiach Odzyskanych „w pięć minut po wojnie”. Na tę ziemię — jeszcze dymiącą od pożarów, „niczyją” — zjeżdżają pierwsi osadnicy. Kotłuje się tam i wre jak w wulkanie. Jedyną ostoją, pomocą i prawem — jest wojsko. Ono rozprawia się z niedobitkami oddziałów SS, walczy z bandami, rozstrzyga konflikty. Osadnicy z centralnej Polski lub zza Bugu nie zawsze odróżniają Ślązaków od Niemców. Zupełna nieznajomość historii z jednej strony, a nienawiść do Niemców z drugiej — powodują poważne nieporozumienia, a nawet dramaty.

Główny bohater filmu, Sowiński, właśnie przez narodziłe konflikty traci ukochaną i Rutka i jej siostra Marta cenne na przyście Polaków jako wrogi. A tymczasem... Polacy tują je jak Niemki: mają polskie niemieckie papiery, a mąż był w Wehrmachcie. Ale nie ten problem gnębi kapitana Sowińskiego. Spotyka on na Śląsku jaciela z lat wojny, kiedy walczyli przeciw Niemcom w regach AK. Od tamtych dni się jednak zmieniło. Sowiński ujawnieniu się, został w wojskowym. Dawny przyjaciel z podziemia.

Jest jeszcze w „Skapani w ogniu” problem rosyjskich, pracujących w wojsku. Słowem film aż pęka problemami i wątkami. Ale takie były w owych czasach sprawy i uzyskać autentyzm, twórcy musieli je chociaż zaszyfrować. Aż dziw bierze, że pomimo bogactwa wątków Passendorfer ustrzegł się dłużyżn.

Film jest nie tylko ciekawy i potrzebny. Patrząc na „Skapani w ogniu” zdajemy sprawę, jak nietrwala jest ludzka. Już zdążyliśmy zapożyczyć dni i miesiące „zaraz po wojnie” kiedy życie rodziło się na nowo. Film Passendorfera przypomina tak było...

LESZEK KASIA i JA



Jedni zdobywają rekordy sportowe, inni sławę i popularność, jeszcze inni wysokie stanowiska. A moim największym osiągnięciem życiowym jest spokój domowy i szczęście rodzinne. W skali światowej to pewnie nie tak wiele, ale dla mnie wcale niemało. Poważnie trzeba się było napracować, bo grunt – to mikrodypłomacja. O tym chcę właśnie opowiedzieć.

MAM LAT 30. Z zawodu jestem kosmetyczką i dobrze znam tajniki pielęgnowania urody. Prócz tego jestem żoną przystojnego Leszka i mamusią 7-letniej córeczki Kasi. Kasia, to tak po staropolsku, ale ładnie. Kasia to także wiele bohaterów różnych pięknych powieści o miłości, które bardzo lubię czytać. Poczytam sobie, pomarzę i już. Bo życie wcale nie jest romantyczne. Życie wymaga trzeźwości, rozsądku i szybkiego refleksu. Trochę się zagapisz i – już po tobie. Moje klientki opowiadają mi nieraz różne swoje przeżycia. Słucham i zawsze przyznaję im rację. Cóż, nasz klient nasz pan, a zresztą, co mi szkodzi zrobić komuś przyjemność? Słuchając ich dużo się dowiedziałam i nauczyłam. Przydało mi się, gdy wyszłam za mąż. Bo mój mąż ma cholerne powodzenie u kobiet! Co ja przeżyłam! Niejedną by zwariowała.

Stałam więc na ślubnym kobiercu i – zaczęło się. Niektóre uważają, że przed obliczem urzędnika stanu cywilnego kończą się wszystkie kłopoty, że wchodzi do raju. Moim zdaniem, jeśli jest gdzieś na tym świecie miejsce na raj, to chyba w narzeczeństwie. Człowiek myśli tylko, jak się ubrać, żeby ładnie wyglądać i „dokąd dzisiaj pójdziemy”. A po ślubie – gotowanie, pranie, sprzątanie, pieluchy, zakupy i mężowskie humory.

Z początku nie było nawet źle. Mąż uprzejmy, pomaga w domu, nadśkakuje, wyręcza. Później zaszłam w ciążę, źle się czułam, wymiotowałam, kwękałam, więc mój mąż starał się schodzić mi z oczu, by nie przeszkadzać. Był jak dawniej serdeczny, tylko często nieobecny. Coraz częściej zaczął brać „nocne dyżury”, podobno, „by zarobić na czekające nas wydatki”.

GDY Kasia przyszła na świat, mój dom od razu stanął, jak to się mówi „na głowie”. Kiedy leżałam w klinice, Leszek przybiegał, przynosił kwiaty, łakocie, wypytywał

o zdrowie. Po powrocie do domu zastałam wózek, łóżeczko, wyprawkę i inne drobiazgi dziecięce. Sielanek przerwał gwałtowny dzwonek do drzwi. Przybyła moja mama, teściowa ze szwagierką i koleżanką z pracy. Każda z paczuszką dla dziecka. Obejrzały małą, zapytały mnie o zdrowie i o przebieg porodu, który musiałam zrelacjonować ze wszystkimi szczegółami. Następnie opowiedziały, co wiedziały o swoich i nieswoich porodach i dzieciach.

Przez jakiś czas odnosiłam małą do mojej mamy, później do teściowej. Nareszcie koleżanka dała mi adres jednej pani, emerytki, która zgodziła się zaopiekować dzieckiem w godzinach od 7 do 17 za 500 zł miesięcznie.

Byłam straszliwie przemęczona. Wstawałam o godzinie 5.30 a kładłam się o 23 lub 24. Ten tryb życia odbijał się niekorzystnie na moim samopoczuciu i wyglądzie. Mama mówiła, że wpadnę w nieuleczalną chorobę. Teściowa twierdziła, że nie umiem zorganizować sobie pracy, a szwagierka radziła: „Załatw sobie jakiś dom wczasowy, ofiaro losu, i odpocznij trochę”. Tylko moje koleżanki w pracy niczemu się nie dziwiły, gdyż wszystko to znaly z własnego doświadczenia. Leszek zapisał się na jakieś kursy i twierdził, że po ich ukończeniu będzie awansował. Oczywiście nie było go w domu, a gdy był, to siedział zagrzebany w swoich aktach, notatkach i podręcznikach. W niczym mi nie pomagał.

Ktorego dnia, wracając do domu obladowana wózkami z Kasią i siatką z zakupami, zastałam pod drzwiami mego mieszkania wwelegantowaną młodą dziewczynę. Gdy przekreśliłam klucz w zamku, podeszła do mnie nieśmiało i zapytała, czy jestem tą a tą i czy może ze mną porozmawiać. Wpuściłam ją do pokoju i zapytałam, czego sobie życzy.

– Ja w sprawie pani męża. My się kochamy, pragniemy się pobrać. Proszę mi go oddać, a ja zrobię wszystko, aby pani nie była poszkodowana.

Popatrzyłam na nią. Ujrzałam wstraszoną twarz, drżące usta i oczy pełne łez. Idiotka! Kompletna idiotka! – pomyślałam. Ale zrobiło mi się jej żal, więc zamiast ją zrzucić ze schodów, spytałam:

– Czy on pani kazał do mnie przyjść?

– Skądże! Byłby zły, gdyby o tym wiedział.

– A jeśli ja mu powiem?

– Nie wiem.

– Czy pani jest pewna, że on się z panią ożeni?

– Mówił zawsze, że gdyby był wolny, nie chciałby innej żony.

„Łajdak!” – pomyślałam, a głośno powiedziałam:

– Moja droga, Leszek nie jest przecież koniem wyścigowym, ani rasowym pudlem lub rzadkim okazem syjamskiego kota, bym mogła go sprzedać, darować, lub dysponować nim w jakiś sposób. Jest człowiekiem, a więc istotą obdarzoną wolnością osobistą. Uważam, że gdyby istotnie dążył do małżeństwa z panią, potrafiłby sam załatwić to, co należy. Obawiam się jednak, że mu na pani nie zależy. Niech pani postawi sprawę jasno, a przekonam się pani, że mam rację. Zresztą, zapewniam panią, że nie ma czego żałować.

W głębi ducha moja rozmówczyni musiała się ze mną zgodzić. Stała chwilę nieruchomo, a później wykrztusiła „Przepraszam” i wyszła. Zdaje się, że płakała.

LESZEK wrócił do domu. Zaczekałam, aż zje kolację, wykapałam Kasię i położyłam ją spać. Była to pora, kiedy Leszek zazwyczaj się ułatniał. Teraz też sięgnął po maszynkę do golenia.

– Zostań dzisiaj w domu – zażądałam.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Chcę z tobą pomówić.

Widocznie coś wyczuł, bo bez słowa odłożył maszynkę, usiadł i zapalił papierosa.

– Czy znasz Halinę?

– Była tu?!

– Tak.

– Czy coś ci nagadała? To idiotka.

– Dlaczego zawracasz jej głowę, przecież to uczciwa dziewczyna?

– Skąd mogłem wiedzieć, że to uczciwa dziewczyna?

– Co masz zamiar robić?

– Splawię ją jakoś.

Mój spokój oraz rzeczowy sposób prowadzenia rozmowy wyprowadził go z równowagi. Był zdenerwowany, bardzo zdenerwowany. Nie wiedział, co mówić i co robić. Zapytał, czy może zostać, czy ma odejść.

– Rób jak chcesz – odpowiedziałam. – Ale w tym stanie rzeczy musisz wziąć pod uwagę ewentualność mego rewanzu.

Zbladł.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

Miał minę ogłupiałą i nieszczęśliwą.

Wzięłam urlop. Wyjechałam na wczasy, ale rodzinie i znajomym powiedziałam, że do sanatorium. Kasię mama zgodziła się wziąć na miesiąc do siebie. Leszek odprowadził mnie na dworzec. Siedzieliśmy w przedziale, nie do siebie nie mówiąc. Gdy pociąg ruszał, spytał cicho:

– Wrócisz?

– Nie wiem – odrzekłam obojętnie.

ZAKOPANE przywitało mnie beztróską. Od razu poczułam się inaczej. Zdjęłam obrączkę i udawałam kobietę bliżej nieokreślonego stanu cywilnego, co nikogo tu nie dziwiło.

Było mi dobrze, nie myślałam o niczym, nie miałam na to czasu. Po raz pierwszy miałam okazję stwierdzić, że życie towarzyskie wymaga jednak ogromnego wysiłku. Ot, chociażby fryzura. Co dzień układałam ją inaczej.

Po kilku dniach zorientowałam się, że jeden pan, mocno już szpakował,

ale świetnie się trzymający, bardzo się mną interesuje. Miał kupę forsy i szastał nią na moją cześć na prawo i lewo. Kobiety pytały mnie wprost, czy na niego reflektuję i obliczały jego przypuszczalne dochody. Pomyślałam sobie, że gdybym się na niego zdecydowała, użyłabym świata. To co, że stary? Leszek młody i co z tego mam? Tyram jak koń, a on tego nawet nie doceni. Lata za kobietami, myśli tylko o sobie. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Zakopanego pomyślałam o Leszku. Zimno, z nienawiścią. Postanowiłam, że jeśli ten dziad mnie zechce, pojedzie z nim. Nie pójdę do pracy, będę spała do południa, wysiadywała po fryzjerach i kawiarniach. A co dalej? Tryb życia, jaki dotychczas prowadziłam, zawsze stoi dla mnie otworem. Nic nie tracę i niczym nie ryzykuję. A więc dalej! Użyć świata, póki służy lata! Pozostawał problem Kasi. No cóż – Kasia ma dopiero dwa lata, przyzwyczai się do nowego otoczenia.

CZAS płynął. Stroiliam się i bawiłam. Miałam trochę forsy, którą odkładałam w tajemnicy przed Leszkiem na telewizor. Rozpuściłam ją całą i nie żalowałam tego. Stary zrobił mi bardzo konkretną propozycję, ni mniej ni więcej tylko małżeństwo (był wdowcem). Wszyscy uważali nas już za parę, ja także byłam zdecydowana, ale nie dawałam odpowiedzi. A trzeba było wreszcie powiedzieć „tak” lub „nie”, bo czas odjazdu nadchodził.

W ostatnim dniu mego pobytu na wczasach umówiłam się z Zygmuntem na zasadniczą rozmowę i właśnie szykowałam się do wyjścia. Leciutkie pukanie, drzwi uchyliły się i zajrzała pokojowa:

– Ktoś czeka na panią na dole.

Byłam pewna, że to Zygmunt. Zeszłam powoli ze schodów. W hallu stał Leszek z Kasią na ręku. Diabli mnie wzięli. Podeszłam do niego i spytałam, nie podając ręki:

– Co tu robisz?

Patrzyli na mnie oboje z Kasią, zdziwieni. Ledwo mnie poznali. Nie chciałam robić widowiska w hallu. Zaprowadziłam ich do mego pokoju.

Siedział jakiś czas bez ruchu, a później chwycił Kasię, przycisnął mocno do piersi. Chwilę trwał tak, a później on gwałtownie oderwał dziecko od siebie i podał mi. Cofnęłam się. Postawił Kasię na ziemię, a gdy się pochylił, zobaczyłam że ma siwe włosy. Dużo siwych włosów. Zrobiło mi się ciężko. Przecież w gruncie rzeczy przeżyliśmy więcej dobrych chwil, niż złych i wszystkie te dobre chwile stanęły mi teraz przed oczami. Zrobiło mi się żal Leszka, Kasi i siebie, i wybuchnęłam płaczem. Leszek ukląkł przede mną i także płakał, całując moje ręce.

Wyjechaliśmy z Zakopanego po kryjomu, jak złodzieje. W domu, na mój widok, szwagierka gwizdnęła, mama mruknęła coś, a teściowa uśmiechnęła się cierpko.

Od tej pory mamy spokój, ale że strzeżonego pan Bóg strzeże, trochę więcej interesuję się Leszkiem i dyskretnie go pilnuję. On mnie też. Jest nam dobrze tak jak jest, a niewiele już brakowało, by się wszystko rozpadło. Całe szczęście, że miałam rozum. Tylko czasami nachodzą mnie wątpliwości, czy to był rozum, czy serce?

LORA ZET

(PRACA NADESLANA
NA KONKURS „20 LAT”)

KOSMOS — OTWARTY OCEAN

(Fragmenty) (1)

„Pierwszy rejs do gwiazd”

Z WYKŁY, kwietniowy dzień. Błąd świeci słońce, nad Kotorosłą krzyczą czajki. Z hałasem maszyn tkackich miesza się „jazgot” wiosennej kapeli. Idę wzdłuż fabrycznego oddziału, koło maszyn z czerwonymi proporcjami przodownic. Myśli mam zajęte codziennymi bieżącymi sprawami.

Nagle spostrzegłam biegnącą w moim kierunku młodą robotnicę. Krzychała:

— Człowiek w Kosmosie!

— Radziecki?

— Gagarin, Jurij!... — odskrzyknęła i pomknęła dalej.

A więc to, o czym przez wieki marzyły najętsze umysły ludzkości, ziściło się!

Pobiegłam do zakładowego komitetu partii. Lokal był już szczelnie zapelniony. Na podwórzu i w oddziałach huczały głośniki. Ludzie byli zachwyceni, ale i zaniepokojeni. Jak się to skończy? Znajdując się nad Ameryką Południową, Gagarin przekazał wiadomość: „Lot odbywa się normalnie, samopoczucie dobre”. A przelatując nad Afryką, informował: „Stan nieważkości znoszę znakomicie!...”.

Tego niezwykłego dnia wróciłam do domu późno i nawet nie pamiętam, czy jadłam obiad. Mama, moja starsza siostra, Ludia i braciszek Wołodia, znali już szczegóły kosmicznego lotu „Wostoka”. Mama była bardzo wzruszona. Mówiła: „Nasz premier wypytował Gagarina o jego żonę i dzieci, przekazywał pozdrowienia matce i ojcu. Jacy Ci rodzice muszą być dumni ze swego syna!”.

Długo nie kładliśmy się tej nocy spać. Bez przerwy mówiliśmy o tym wielkim cudzie XX wieku. Już leżąc w łóżku, matka powiedziała:

— No, latał chłopak, teraz kolej na dziewczynę!

Te słowa jakimś dziwnym echem odezwały się w moim sercu, drgnęły we mnie jakiegoś nieznanego struny. Nie mogłam zasnąć do rana...

...Nasz zakładowy komitet Komsomolu zatroszczył się o to, by cała młodzież „Czerwonego Pieriekopu” przeczytała wszystko, co o osiągnięciu pierwszego kosmonauty świata pisała prasa. W oddziałach powstawały brygady imienia Jurija Gagarina, a my, jarosławskie włóknarki, wystosowałyśmy do niego telegram. W świetlicach, przyozdobionych już jego portretami, robotnice i robotnicy wspólnie słuchali transmisji z triumfalnego powitania, jakie Moskwa zgotowała zdobywcy Kosmosu.

Potem nadeszły gazety ze zdjęciami z tego przywitania i przyjęcia na Kremlu. Mamie bardzo spodobała się żona Gagarina — Walentyna Nikolajewa.

— Ładna z nich para — mówiła.

„Prawda” zaczęła wkrótce drukować wspomnienia Gagarina pt. „Droga w Kosmos”. Dowiedziałam się, że Gagarin, podobnie jak ja, urodził się na wsi, w rodzinie kolchoźniczce. Jego matka, tak jak i moja pracowała w fermie mleczarskiej. On rozpoczął wcześniej pracę w przemyśle — ja także. Oboje skończyliśmy technikum i oboje uczyliśmy się w aeroklubach.

Piszę o tym wszystkim nie dlatego, by powiedzieć, że w tamtym okresie próbowałam porównywać siebie z Gagarinem; nie przyszło mi to do głowy. Po prostu, dzieciństwo i młodość milionów chłopców i dziewcząt naszego kraju były w przybliżeniu takie jak Gagarina. Gdyby poleciał w Kosmos ktokolwiek inny, jego biografia byłaby zapewne również podobna do mojej, albo moich koleżanek z „Czerwonego Pieriekopu”, czy setek tysięcy innych młodych ludzi, żyjących w którymkolwiek z zakątków Związku Radzieckiego.

M IALAM w aeroklubie serdeczną przyjaciółkę — Taniuszę, uczennicę szkoły artystycznej, która wyszła później za mąż za Morozyczewa. Kiedyś, wracając w trójkę z lotniska do miasta, posprzeczałyśmy się na temat naszych kwalifikacji z dziedziny spadochroniarstwa. Byłam zdania, że skaczymy nie najlepiej i że powinniśmy dążyć do tego, aby skakać tak jak kosmonauci. Morozyczew milczał długo, a potem poklepał mnie po ramieniu i powiedział wesoło:

— Ech, ty, Gagarin w spódnicy!...

Przed dniem Lotnictwa Radzieckiego wyświetlano u nas w kinie „Ojczyzna” kolorowy, pełnometrażowy film pt. „Pierwszy rejs do gwiazd”. Chciałam koniecznie zobaczyć ten film, ale nie udało mi się zdobyć biletu — przed kasami zawsze tłoczyli się ludzie. Dopiero, gdy nasz komitet Komsomolu (byłam wtedy jego sekretarzem) zorganizował kilka zbiorowych wycieczek do kina, obejrzałam wreszcie ten film — i to nie jeden raz. Po raz pierwszy zobaczyłam aparaturę, przy pomocy której bada się zdrowie kosmonautów, zobaczyłam ich intensywne treningi sportowe, a także różne huśtawki, kołyszące się stoły, wirówki, wibrostenydy, komorę ciszy...

— Wypróbują człowieka na wszelkie możliwe sposoby — szepnął na jednym z seansów mój braciszek, Wołodia.

— Ciekawe: czy kobieta potrafiłaby wytrzymać to wszystko? — zastanawiała się moja siostra.

W TYM ROKU panowało przepiękne, słoneczne lato. Nasz zielony Jarosław przypominał wielki ogród. Komsomolcy spędzali teraz wolne godziny na urwistych brzegach Wołgi i szczególnie milej memu sercu Kotorosli, omywającej ceglane ściany „Czerwonego Pieriekopu”. Często w czasie tych wycieczek mówiliśmy o Gagarinie i o jego podniebnym locie. A Gagarin właśnie w tym czasie rozpoczął swoją podróż po krajach Europy i zachodniej półkuli. Witano go z entuzjazmem w Złotej Pradze, w krainie tysiąca jezior — Finlandii, w największym kraju amerykańskiego kontynentu — Brazylii i na Kubie. Wiwatowano na jego cześć w Bułgarii, tradycyjne „Sto lat” śpiewała mu Polska, przyjechała go w pałacu buckinghamskim angielska królowa. Podczas obiadu Elżbieta II zapytała:

— Czy polecą w Kosmos kobiety?

— Na pewno polecą — odpowiedział stanowczo Gagarin.

„Kto będzie tą szczęśliwą? — myślałyśmy, opalając się na mieliznach Kotorosli — czy Gagarin miał na myśli jakąś konkretną kobietę?”.

Ale ani w książce, ani w filmie o locie „Wostoka” o tym nie napomknięto. Była tam tylko mowa o kosmonaucie nr II, o innych towarzyszach...

Byliśmy przekonani, że za pierwszym lotem w Kosmos szybko nastąpi drugi, a potem trzeci, dziesiąty. W którym z nich weźmie udział kobieta?...

— No, to na pewno nieprędko nastąpi — twierdziła jedna z moich koleżanek.

Wkrótce potem, tuż przed kolejnymi skokami spadochronowymi, Stanisław Morozyczew, zupełnie dla nas nieoczekiwanie powiedział:

— No, wy, przyszłe kosmonautki, pośpieszcie się!...

„Kosmonautki”? Cały nasz dziewczęcy oddział zamartw w wrażenia.

Taniusza, rzuciwszy na Morozyczewa figlarne spojrzenie, roześmiała się:

— A co, czy to Jarosław gorszy od Gzatska?...

W rodzinnym Maslennikowie

U RODZIŁAM się 6 marca 1937 roku w Maslennikowie — niewielkiej, zagubionej wśród lasów wiosce, położonej około czterdziestu kilometrów od Jarosławia. Okolica jest tam rozległa: pagórki, stawy, zarośla. Jaskółki dni zaczynały, a słowiki kończyły. W nizinach ściele się woda, jak mgła. We wsi wszystkiego dwa dziesiątki chat i wszyscy się tu doskonale znają.

Mój ojciec, Włodzimierz Aksienowicz, pochodził z licznej, biednej rodziny. Dziad



Foto: A. Romanowa

Aksien zmarł wcześniej. Po jego śmierci kolchoz pomógł naszej babci Matronie Titownie przewieźć z sąsiedniego siola i złożyć zarekwirowany kułakom drewniany dom. Obszerny, z rzeźbionymi gzymzami, okiennicami i przedsiódkiem, wyglądał jak obrazek z puszkiniowskiej bajki. Ale nie mieszkaliśmy w nim długo; mój ojciec i matka, Helena Fiedorowna, pochodząca z odległej wsi, kupili wkrótce domek mniejszy, drewniany. W nim spędzałam moje dzieciństwo.

Rodzice zarówno ojca, jak i matki, przyjechali do Jarosławszczyzny z Białorusi i obydwójce byli pierwszymi kolchoźnikami w swoich wsiach. Rodzina matki była liczna — ośmioro rodzeństwa. Matka opowiadała, że troje z nich zmarło z głodu. Dziadek Wania, zginął w czasie wojny domowej, podczas zdobywania tureckiego szanica pod Pieriekopem, a dziadzio Jesiej, komunista, został zastrzelony przez kułaków. Wracał z włeciu, na którym wzywał mieszkańców wsi, aby wstępowali do spółdzielni rolniczej.

Ojca znam tylko z opowiadań matki i krewnych. Pracował jako traktorzysta w kolchozie. Jak przez mgłę przypominam sobie, że brał mnie z sobą w pole i woził traktorem. Zachował mi się jeszcze z tych czasów w pamięci zapach spalchnionej lemieszami ziemi i czyste, wiosenne niebo. Kiedy teraz staram się wyobrazić sobie ojca, przed oczyma zjawia mi się wesoły, barczysty człowiek o otwartym spojrzeniu, z jasnymi, wijącymi się włosami, z harmonią w rękach. Takim przedstawiały mi go mama i babcia. Zawsze mówiły, że ojciec żył z moją matką w idealnej zgodzie. Poważnie pokłócili się zaledwie raz i to właśnie z mojego powodu.

— Kiedy się urodziłaś — wspominała moja babcia — matka postanowiła cię nazwać Rajeczka. A ojciec poszedł do urzędu gminnego i kazał napisać „Walentyna”...

K IEDY miałam mniej więcej dwa lata, ojca wezwali do wojska. Uczestniczył w wyzwoleniu polski pochodzie do Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. A potem, któregoś wieczoru, kiedy szalała śnieżycą, przewodniczący rady wiejskiej przyniósł do naszego domu zawiadomienie, że czerwonoarmista Tierieszkow Włodzimierz, zginął na posterunku bojowym i został pochowany z oddaniem honorów wojskowych. Miałam wtedy trzy lata...

W kilka miesięcy po śmierci ojca mama urodziła mojego braciszka. Dla uczczenia pamięci ojca otrzymał imię Włodzimierz.

Życie stało się trudne, ale matka nie pozostała osamotniona. Kolchoźnicy pomagali nam, jak tylko mogli. Piotr Morozyczew, brygadzysta brygady traktorowej, w której ojciec pracował do chwili powołania go do wojska, wyremontował dach naszego domu, zreperował płot, skopał ziemię w ogrodzie.

Przekład: R.D.

D. C. N.

MALŻEŃSTWO rodzina i PRAWO

Zadna chyba ustawa nie wywołała tak szerokiej i powszechnej dyskusji publicznej jak kodeks rodzinny i opiekuńczy. Nie ma się zresztą czemu dziwić: przepisy dotyczące małżeństwa i rodziny obchodzą każdego, każdemu są bliskie i — jak w rzadko której dziedzinie — każdy ma na ich temat coś do powiedzenia. Toteż Komisja Kodyfikacyjna mało nie utonęła w powodzi wniosków, uwag, zastrzeżeń i propozycji. Prace nad kodeksem trwały kilka lat. Do projektu wprowadzono bardzo wiele zmian, poprawek i uzupełnień, zanim wreszcie 25 LUTEGO 1965 R. SEJM UCHWAŁIŁ NOWY KODEKS RODZINNY I OPIEKUNICZY. Wejście on w życie dopiero z dniem 1 stycznia 1965 r., niemniej już dziś warto zapoznać się choćby z jego podstawowymi założeniami.

Czy to konieczne?.. Tysiące ludzi umieją układać stosunki między sobą uczciwie, przyswoić i po ludzku, są wzorowymi żonami i matkami, mężami i ojcami, choć... tej umiejętności wcale nie czerpią z artykułów kodeksu. Znakomicie się obchodzą bez znajomości prawa, a prawo nie musi „wtracać się” w ich życie. Jednocześnie jednak tysiące innych ludzi postępuje wbrew ogólnie przyjętym zasadom współżycia, kieruje się wyłącznie własną wygodą i fantazją, krzywdząc swoich najbliższych i nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności za nich. I wtedy prawo staje się niezbędne. Wkracza, aby wziąć w obronę słabszego, pokrzywdzonego — obojętne, czy jest nim kobieta, mężczyzna, małe dziecko, czy stary i słaby człowiek. No, bo taki jest sens prawa: uczynić przypomina i nakazuje

żyć według norm obowiązujących w społeczeństwie, a nie według własnego widzimisie. A że przepisy kodeksu rodzinnego regulują rozległą dziedzinę spraw małżeństwa i rodziny — każdy powinien mieć o nich przynajmniej jakieś takie pojęcie. Tym bardziej że nowy kodeks szereg zagadnień reguluje odmiennie niż kodeks dotychczas obowiązujący.

Wprowadza np. obowiązek zgłoszenia zamiaru zawarcia małżeństwa co najmniej na miesiąc przed terminem ślubu. Zmusza więc niejako do zastanowienia się i upewnienia w ciągu tego miesiąca, czy podjęta decyzja jest rzeczywiście słuszną, czy też może... lepiej się z niej wycofać.

Podnosi dolną granicę wieku, uprawniającego mężczyzn do zawarcia małżeństwa, z 18 do 21 lat. Dla kobiet progiem „dojrzałości” małżeńskiej pozostaje 18 lat, jak dotychczas. W wyjątkowych, uzasadnionych przypadkach sąd opiekuńczy może udzielić zezwolenia na wcześniejsze zawarcie małżeństwa, ale i wtedy ona nie może mieć mniej niż 16 lat, on — mniej niż 18 lat.

Dała małżatce prawo wyboru nazwiska. Dotychczas albo żona przyjmuje nazwisko męża (najczęściej), albo może je dołączyć do swego panieńskiego. Od 1 stycznia 1965 r.

będzie również mogła, jeśli zechce, zachować swoje nazwisko rodowe. Wówczas, oczywiście, małżonkowie muszą złożyć oświadczenie, jakie nazwisko (matki czy ojca) nosić będą przyszłe ich dzieci.

Bardzo istotną zmianą jest rozszerzenie zakresu tzw. wspólności ustawowej. Od momentu zawarcia małżeństwa wszystko, co małżonkowie zdobędą, cały ich dorobek stanowi wspólną własność. Zgodnie z nowym kodeksem, także wynagrodzenie za pracę. Jest to o tyle ważne, że w Polsce więcej niż połowa mężatek nie pracuje zawodowo i nie otrzymuje zapłaty za swoją pracę, którą niewątpliwie przyczynia się przecież do tworzenia wspólnego dorobku.

Założeniem generalnym nowego kodeksu — podobnie zresztą, jak i obecnie obowiązującego — jest, zgodnie z art. 67 Konstytucji, ochrona trwałości małżeństwa i rodziny, podkreślenie roli i wagi, jaką do nich przywiązuje społeczeństwo. Zdrowa, spójna rodzina, zapewniająca dzieciom normalne warunki wychowania i niezbędne dla maluchów „ciepło”, jest dobrem społecznym, które państwo wysoko ceni i otacza opieką.

Nie przekreśla to jednak faktu, że są liczne sytuacje, w których jedynym rozwiązaniem jest... rozwód. Polskie prawo rodzinne dopuszcza możliwość rozwodu, jeżeli rozkład pożycia jest zupełny i trwały. Nie zezwala jednak na udzielenie rozwodu w przypadkach, gdy miałby on przynieść krzywdę małoletnim dzieciom lub gdy z innych względów orzeczenie rozwodu byłoby sprzeczne z zasadami współżycia społecznego.

Zasady współżycia społecznego decydują o równości

niez w orzeczeniu rozwodu na żądanie małżonka wyłącznie winnego, nawet bez zgody drugiego małżonka, jeżeli odmowa zgody ma wyraźny charakter zemsty lub szyskany (np. wiem, że on do mnie już nigdy nie wróci i nawet mi już na tym nie zależy, ale póki żyje, nie dopuszczę, żeby „tamta” została legalną żoną). Jest to nowe uregulowanie kategorii spraw szczególnie drażliwych i przykrych. Nie wszedł natomiast do kodeksu przepis (mimo iż miał dość licznych zwolenników), w myśl którego małżonkowie bezdzietni, zgodnie żądający rozwodu, mogliby go uzyskać bez żadnych trudności.

Kodeks wprowadza również istotne zmiany w zakresie alimentacji na rzecz rozwie-

zionego współmałżonka. Mianowicie: w przypadku rozwodu bez orzekania o winie, obowiązek alimentacyjny małżonka niewinnego wygasa po upływie 5 lat od orzeczenia rozwodu. Tak jest dotychczas. Zmiana polega na tym, że po wejściu w życie nowego kodeksu, sąd będzie mógł w uzasadnionych wypadkach, na wniosek uprawnionego, okres ten przedłużyć.

W przypadku, gdy jeden z małżonków jest wyłącznie winny i gdy rozwód pociąga za sobą istotne pogorszenie sytuacji materialnej małżonka niewinnego, sąd będzie mógł zasądzić alimenty również i wówczas, gdy małżonek niewinny nie znajduje się w niedostatku (zgodnie z ogólnymi zasadami — alimenty przysługują tylko temu, kto jest w niedostatku). Przepis ten ma na celu uchronienie małżonka

(Dokończenie na str. 11)

W DNIU, w którym Sejm uchwalił kodeks rodzinny i opiekuńczy, główny sprawozdawca Sejmowej Komisji Wymiaru Sprawiedliwości poseł Tadeusz Makowski odwiedził naszą redakcję wraz z grupą posłanki: JANINĄ GELEK, JANINĄ KUBANI, ZOFIĄ MATUSZEWSKĄ, TERESĄ GASIORKIEWICZ, ZOFIĄ IWANSKĄ.

Przy „małej czarnej” zespół redakcyjny zapoznał się ze zmianami w przepisach prawa rodzinnego, jakie wprowadza nowy kodeks.

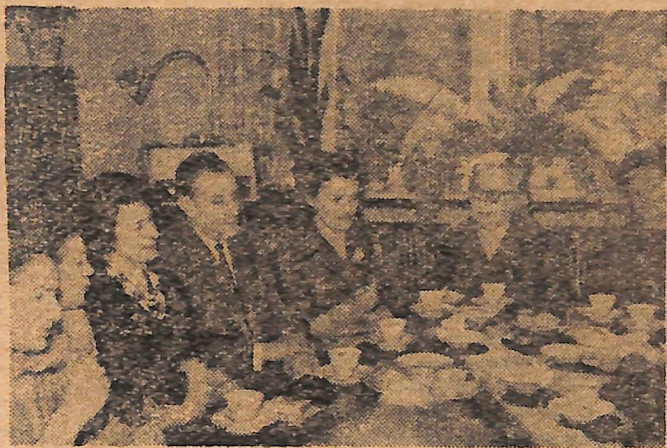


Foto CAF

Z kraju

15 marca rozpoczynają się w Poznaniu Targi Krajowe — Wiosna 61. W dziale przemysłu chemicznego i drobnej wytwórczości będą w tym roku szczególnie podkreślone potrzeby rolnictwa, środki ochrony roślin, narzędzia oraz sprzęt rolniczy i ogrodniczy itp.

W końcu lutego bieżącego roku w wyniku narady działaczy kulturalnych regionu szczecińskiego, w której wziął udział Minister Kultury i Sztuki, Tadeusz Galiński, powołano do życia Szczecińskie Towarzystwo Kultury. Towarzystwo będzie zespalać wszystkie wysiłki w upowszechnianiu i rozwijaniu działalności kulturalnej na Pomorzu Zachodnim.

Ekonomicznie zaniedbane gospodarstwa rolne, którym na podstawie umowy zawartej z Prezydium GRN przysługuje pomoc kredytowa, otrzymują potrzebne kredyty w Banku Rolnym. Obecnie, dla udogodnienia w korzystaniu z kredytów, właściciele gospodarstw mogą zgłaszać się o takie kredyty do SOP.

Hieronim Burny, traktorzysta z kółka rolniczego w Rębowie (powiat Płock) pierwszy odpowiedział na apel CZKR wzywający do podejmowania zobowiązań produkcyjnych dla upamiętnienia 20 rocznicy PRL. Zobowiązał się on do wykonania w roku bieżącym 1500 godzin usług traktorowych dla rolników, nie przekraczając jednocześnie normy zużycia paliwa. Traktorzysta z Rębowa wezwał do współzawodnictwa innych traktorzystów.

Kultura w gromadzie

MÓWILI: — Nie dasz sobie rady. Przestrzegali, prosili: — Na co ci to, czy źle być nauczycielką? — A ja kochałam, że piękny Dom Kultury kilkanaście lat stoi ciągle nie wykorzystany.

Minęły trzy lata. O Krystynie Zakrzewskiej dziś powiadają: To prawdziwa działaczka.

A ona uśmiecha się tylko wtedy i liczy. Nie, nie pieniądze, bo ich za wiele nie ogląda, ale funkcje. Kierownik Gromadzkiego Domu Kultury, instruktor, dekorator, administrator itd... razem 28. Niemal!

Bardkowo jest duża osada ze szkołą, ośrodkiem zdrowia i Domem Kultury. W piętrowym Domu Kultury znajduje się sala widowiskowa na ponad 200 miejsc, świetlica i rozlokowany w hallu klub „Ruchu”. Ponadto biblioteka i — żeby nie zapomnieć — natrysk w piwnicy, niestety jak dotąd nieczynny.

To miejsce akcji, a co się tutaj dzieje?

Przede wszystkim działają zespoły. Teatralny grupuje ponad 50 osób. Ma kilkuletnią tradycję i z reguły zajmuje jedno z pierwszych miejsc w eliminacjach powiatowych. Orkiestralny jest też na nie najgorszym poziomie. Oprócz tego działa zespół recytatorski

i chóralny (50 osób) oraz trzy taneczne. Gospodarują one w Domu Kultury w godzinach popołudniowych, zajmując na próby i zajęcia świetlicę i scenę sali widowiskowej.

Pod wieczór koło siódmej Dom wypełnia się mieszkańcami wsi. Jeżeli program telewizyjny jest atrakcyjny, w klubie aż gęsto od ludzi. Zapaleni szachści i warcabiści uciekają do świetlicy. Innych przyciągają odczyty, prelekcje, a także Uniwersytet Powszechny — (II stopień), w którym uczestniczy stu słuchaczy.

Dom Kultury współpracuje z zespołami działającymi na terenie gromady, z świetlicami, ma nawet skromną, ale własną wypożyczalnię strojów ludowych.

NAPRZECIWKO GOSPODY

DOM KULTURY w Służewie mieści się akurat naprzeciwko gospody. Piękny budynek góruje nad gospodą nie tylko okazałym wyglądem. Wieczorami na telewizję wpada bufetowa.

— A co ja mam tam sama robić — tłumaczy — kiedy moi pijackowie też tu przyszedli?

Służewski Dom Kultury ma piękną salę widowiskową. W wiodącym do niej hallu, urządziła się wystawa np. o stylach w budownictwie. Na piętrze, obok małych pomieszczeń pomocniczych, śliczny i wygodny, z ładnie wkomponowanym w całość wnętrza — kiosk-klub, „Ruchu”. Dalej znajduje się również przyjemna sala gier

cichych, w której także odbywają się zajęcia świetlicowe, dyskusje o telewizji, spotkania.

W Służewie istnieją oczywiście zespoły amatorskie. Są młode jak i Dom, a więc jeszcze nie mogą pochwalić się swoim dorobkiem.

Pod wieczór w klubie i sali gier robi się tłoczno. Przychodzą nie tylko mieszkańcy Służewa ale i sąsiednich wiosek. Dzieje się tak nawet w lecie, bo wtedy odwiedza Dom młodzież, w pozostałych miesiącach roku ucząca się w miastach.

BLIŻEJ ŚWIETLICY

OPRÓCZ gromadzkich domów kultury — placówek jakby nie było samodzielnych — pracują na wsi, jak wiadomo także świetlice wiejskie. Nie mają one zaplecza (kina, biblioteki, nie mówiąc już o kostiumach), którym dysponuje dom kultury, a kierownik świetlicy jest najczęściej pracownikiem nieetatowym, który nie ma dostatecznych wiadomości, by bez pomocy prowadzić zespół amatorski lub pracę oświatową. Za to może i powinien oczekiwać pomocy od powiatowego domu kultury, ściślej od poradni metodycznej. Ale...

Oddajmy głos kierownikowi Powiatowego Domu Kultury w Aleksandrowie Kujawskim: — „Poradnia zaprasza na swoje szkolenie kierowników świetlic i zespołów amatorskich. Mamy niezłą bibliotekę, z której mogą ko-

(Dokończenie na str. 14)

Noc w hotelu

Siegfried
Laur

NOCNY portier przejechał ogryzionym paznokciem po wykazie, wrzucił z ubolewaniem ramionami i odwrócił się w lewo, przy czym materiał jego munduru niebezpiecznie napiął się pod pachą.

— To jedyna możliwość — powiedział. — O tej porze nigdzie nie dostanie pan pojedynczego pokoju. Oczywiście, może pan próbować w innych hotelach. Ale z góry panu mówię, że jeśli pan wróci do nas — nie będziemy już mogli niczym panu służyć. Bo to wolne łóżko w dwuosobowym pokoju, którego pan nie chce z niewiadomych mi przyczyn, na pewno znajdzie do tego czasu amatora.

— Dobrze — zgodził się Schwamm — biorę to łóżko. Tylko chciałbym — chyba pan to rozumie wiedzieć, z kim będę dzielił pokój; pytam nie przez ostrożność, bynajmniej, nie mam czego się obawiać. Czy mój partner — ludzi, z którymi spędzamy noc, można chyba nazwać partnerami — czy on jest w pokoju?

— Owszem, już tam jest i śpi.

— Śpi — powtórzył Schwamm. Poprosił o kartę meldunkową, wypełnił ją i oddał portierowi; potem poszedł na górę.

Gdy zobaczył pokój z podanym mu numerem, mimo woli zwolnił kroku i wstrzymał oddech w nadziei, że dojdą go jakieś odgłosy świadczące o obecności tamtego, a potem schylił się do dziurki od klucza. W pokoju było ciemno. W tym momencie usłyszał kroki na schodach i musiał teraz coś przedsięwziąć. Mógł oczywiście odejść i udawać, że zablądził na korytarzu. Drugą możliwością, to wejść do przydzielonego mu pokoju, w którym na jednym z łóżek ktoś już spał.

Schwamm nacisnął klamkę. Zamknął za sobą drzwi i po omacku zaczął szukać na ścianie kontaktu. Nagle znieruchomiał: tuż obok niego — natychmiast zorientował się, że tam muszą stać łóżka — ktoś odezwał się przytłumionym, lecz zarazem energicznym głosem:

— Proszę nie zapalać światła! Będę panu za to bardzo zobowiązany!

— Pan na mnie czekał? — zaniepokoił się Schwamm, ale nie otrzymał na to odpowiedzi. Zamiast tego usłyszał:

— Niech pan nie potknie się o moje kule i uważa, żeby nie zawadzić o walizkę, która stoi mniej więcej pośrodku pokoju. Powiem Panu jak iść i doprowadzę bezpiecznie do łóżka: niech pan zrobi trzy kroki wzdłuż ściany, potem skróci w lewo, znów trzy kroki i znajdzie się pan u wezłowania łóżka.

Schwamm wykonał wszystko posłusznie, dotarł do łóżka, rozebrał się i wsunął pod kołdrę. Słyszał oddech nieznanego i czuł, że nie będzie mógł od razu zasnąć.

— Nazywam się Schwamm — odezwał się po chwili wahania.

— Ach, tak — mruknął tamten.

— Tak jest.
— Czy pan przyjechał tutaj na kongres?
— Nie. A pan?
— Też nie.
— W interesach?

— Nie, tego nie można w ten sposób określić. Ja przyjechałem tutaj z najdziwniejszego chyba powodu, jaki może człowieka sprowadzić do miasta — powiedział Schwamm.

Na pobliskim dworcu manewrował pociąg. Ziemia drżała i łóżka, na których leżeli obaj mężczyźni, także z lekka zadrżały.

— Ma pan może zamiar popełnić tutaj samobójstwo? — spytał tamten.

— Nie — zaprzeczył Schwamm — czy wyglądam na to?

— Nie wiem, jak pan wygląda — odparł nieznanomy — jest ciemno.

— Ależ nie. Broń Boże! — zaczął Schwamm z lekkim rozbawieniem w głosie. — Mam syna, pani... małego łobuziaka, i przyjechałem tutaj ze względu na niego.

— Czy jest w szpitalu?

— Skądże! Jest zdrowy, jest może trochę mizerny, ale tak w ogóle jest zupełnie zdrowy. Chciałem panu właśnie wytłumaczyć, skąd się tu wziąłem, tu, z panem w tym pokoju... Jak już mówiłem, wiąże się to z moim synem. Jest niesłychanie wrażliwy, istotna mimoza, czuły na najłżejsze dotknięcie.

— A więc jednak jest w szpitalu?

— Nie! — zawołał Schwamm — mówiłem panu przecież, że jest zdrowy, zdrowy pod każdym względem. Tylko wciąż coś mu zagraża, ten smarkacz jest cały jak ze szkła i dlatego zawsze zagrożony.

— To czemu nie popełnia samobójstwa? — zdziwił się nieznanomy.

— Co też pan! Takie dziecko jak on! Dlaczego pan to mówi? W wypadku mojego syna chodzi o zupełnie co innego: codziennie rano, kiedy idzie do szkoły — a chodzi zawsze sam — zatrzymuje się przed szlabanem i czeka dopóki nie przejdzie pociąg. Wtedy chłopak stoi i macha ręką, macha ze wszystkich sił, macha przyjaźnie, macha rozpaczliwie.

— No i co dalej?

— Potem idzie do szkoły — wyjaśnił Schwamm — a po powrocie do domu jest nieswój, podrażniony, a nawet czasem popłakuje. Nie jest w stanie odrabiać lekcji, nie chce się bawić ani rozmawiać. I tak jest codziennie od wielu miesięcy. Dziecko zupełnie mi się zmarnuje.

— Ale dlaczego zachowuje się w ten sposób?

— Widzi pan — mówił dalej Schwamm — to jest osobliwe: chłopiec macha ręką, i ze smutkiem widzi, że nikt z podróżnych mu nie odpowiada. I dziecko tak bierze sobie to do serca, że my — to jest moja żona i ja — bardzo się niepokoimy. On macha, a jemu nikt nie macha; oczywiście podróżnych nie można do tego zmusić, śmieszne i absurdalne byłoby wydawanie w tej sprawie odpowiednich przepisów, jednakże...

— A więc pan, panie Schwamm, chce zaradzić na zmartwienie swego syna w ten sposób, że pan pojedzie tym razem rannym pociągiem i pomacha małemu?

— Tak — odparł Schwamm — właśnie.

— Mnie dzieci nie obchodzą — powiedział nieznanomy. — Niecierpię dzieci i unikam ich jak mogę, ponieważ przez nie właściwie straciłem żonę. Zmarła przy pierwszym porodzie.

— Bardzo mi przykro — wtrącił Schwamm i wyciągnął się w łóżku. Przyjemne ciepło rozlało się po jego ciele; czuł, że zaraz zaśnie.

— Pan chce jechać do Kurzbachu, prawda? — zagadnął naraz tamten.

— Tak.

— I nie ma pan żadnych skrupułów? Mówiąc otwarcie, czy pan się nie wstydzi oszukiwać własnego syna? Gdyż to, co pan zamierza zrobić, jest, chyba sam pan to przyzna, podstępem, jest wręcz oszustwem!

— Jak pan śmie! — wybuchnął Schwamm. — Co też panu przychodzi do głowy! — Poprawił się w łóżku, podciągnął wysoko kołdrę, leżąc rozmyślał jeszcze przez chwilę, po czym zasnął.

Obudziwszy się następnego ranka stwierdził, że jest sam w pokoju. Spojrzał na zegarek i przestraszył się: do odejścia pociągu pozostało mu tylko pięć minut, niepodobniestwem było zdążyć.

Po południu — nie mógł sobie pozwolić na spędzenie jeszcze jednej nocy w mieście — zgnębiony doznany zawodem, wrócił do domu.

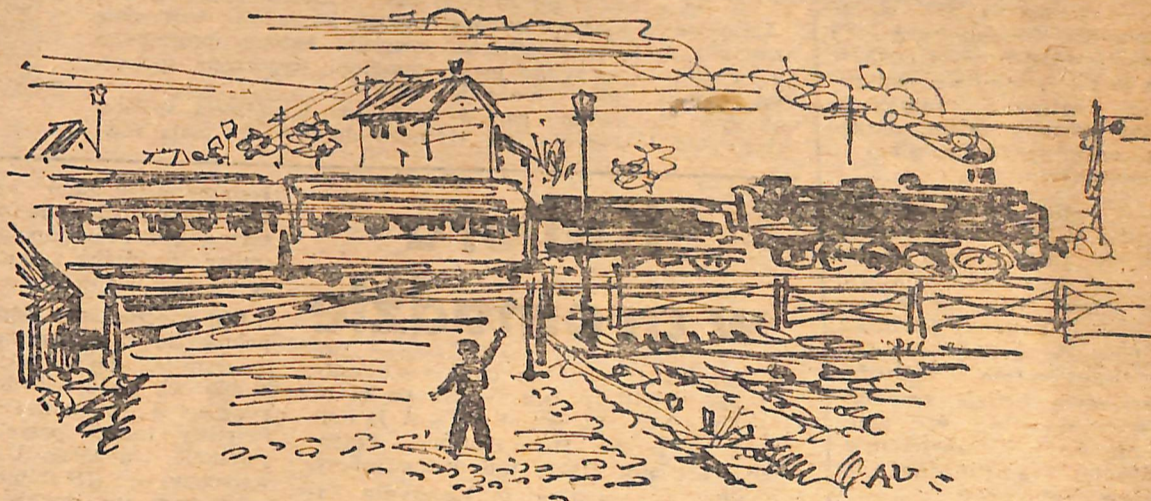
Drzwi otworzył mu syn, uszczęśliwiony, promieniejący radością. Rzucił się do niego, zaczął piścić bębniąc po jego udach i krzyzczył:

— Ktoś do mnie machał, ktoś do mnie długo machał!

— Laską? — zapytał Schwamm.

— Tak, taką laską dla kulawych. A w końcu zawiązał na tej lasce chustkę od nosa i trzymał ją przez okno tak długo, jak długo mogłem ją widzieć.

Z niemieckiego tłum. STEFANIA KALTMAN



Rys. A. Uniechowski

Franciszek Mleczo „WIEŚ RODZINNA WZYWA”. Wspomnienia o wsi, jej rozwoju i przemianach. Wydała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza (cena w oprawie 49 zł). Opracowanie graficzne Alojzy Balcerzak, zdjęcia kolorowe, fot. H. Mogilnicki, wzory ceramiczne B. Książek. „Wieś rodzinna wzywa” — „to książka pobudzająca do myślenia, książka, z której wiele można się nauczyć, książka pożyteczna, potrzebna i bardzo na czasie” — tak kończy w przedmowie swą ocenę Józef Chałasiński.

Piotr Grzegorzczak „LEW TOLSTOJ W POLSCE” (Wyd. PiW, cena 25 złotych). Wartościowa ta pozycja niewątpliwie zainteresuje nauczycieli, młodzież i wielu czytelników, którzy zachwycają się dziełami Lwa Tolstoj (jak „Wojna i pokój”, „Anna Karenina”, „Zmartwychwstanie” itd.). Zainteresuje choćby dlatego, że do-

Co nowego w księgarniach?

wiedzą się z niej jak nasi wybitni, współcześni Tolstojowi polscy pisarze oceniali jego twórczość; co o nim na przykład pisała Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, Kasprówicz, Krąszewski i wielu innych.

Poza tym polecamy:

Antoni Gładysz „OBÓZ ŚMIERCI” (Wyd. Łódzkie, cena zł 16).

Józef Ignacy Krąszewski „STARA BASŃ” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, cena zł 21). Przedmowę napisał Julian Krzyżanowski. Posłowiem i przypisami opatrzył Wincenty Danek. Opracowanie graficzne Zygryda Gardzielewskiego.

Maria Konopnicka „POEZJE” (Wyd. „Czytelnik”, cena w oprawie 30 zł). Opracowała Alina Brodzka.

Eliza Orzeszkowa „DZIURDZIWIE” (Wyd. „Czytelnik”, cena 10 zł).

Stanisław Czernik „SMOLARNIA NAD BOBROWĄ WODĄ” (Wyd. Lud. Spółdz. Wyd., cena 13 zł). Powieść historyczna z XI wieku.

Stefania Land, Maria Plewkiewicz „FORTRET JAKUBA JASIŃSKIEGO” (Wyd. Książka i Wiedza, cena 10 zł).

Włodzimierz Fomicenko „ROZSTANIE Z ZIEMIĄ” (Wyd. PiW, cena zł 16). Przełożył Tadeusz Mongird. Jest to jedna z najlepszych powieści radzieckich ostatnich lat.

Herman Kesten „SZCZĘŚLIWI LUDZIE” (Wyd. „Czytelnik”, cena 15 zł). Powieść tę tłumaczyła z niemieckiego Edyta Sicińska.

Julia Hartwig „APOLLINAIRE” (Wyd. PiW, cena zł 30). Indeks opracowała Anna Cierniakówna. Pięknie napisana opowieść o życiu sławnego francuskiego poety.

„U SCHYLKU WOJNY” (Antologia pamięci 1939–1945. Wyd. Książka i Wiedza, cena 20 zł). Wybór i przypisy Witolda Witkowskiego. Wstęp M. Bartelskiego.

Leon Pasternak „PIERWSZE KROKI” (Biblioteka Teatrów Amatorskich). Wyd. Ludowa Spółdz. Wyd., cena 11 zł. Opracowanie inscenizacyjno-reżyserskie Jan Bratkowski. Dla dzieci:

Jan Brzechwa „AKADEMIA PANA KLEKSA” (Wyd. „Czytelnik”, cena w oprawie z ilustracjami M. Szancera 16 zł).

Lucyna Legut „STRACH SIĘ MARTWI” (Wyd. Literackie Kraków, Ilustracje autorki, cena 13 zł).

Co tu poradzić?

W lutym 1960 roku, a więc przed czterema laty, Władysław B. objął sześć hektarowe gospodarstwo we wsi Drzonów. Stało się to na mocy decyzji Prezydium PRN w Zielonej Górze. Wkrótce potem sporządzono w Banku Rolnym w Zielonej Górze umowę, w której bank zobowiązał się owo gospodarstwo Władysławowi B. sprzedać, Władysław B. zaś notarialnie przyrzekł je kupić.

Nigdy jednak nie wpłacił bankowi ani grosza, zaś po dwóch latach gospodarowania na zasadzie dzierżawy zaczął zabiegać o obniżenie ceny budynków. Postawił przy tym warunek — jeśli Prezydium PRN tej ceny nie obniży przynajmniej o połowę, to on z kupna gospodarstwa w ogóle zrezygnuje.

Obniżka ceny nie była możliwa. Wyjaśniono rolnikowi, że gospodarstwo w porównaniu z innymi obiektami tego typu jest oszacowane bardzo przystępnie.

Wobec tego Władysław B. złożył w marcu 1963 r. do Banku Rolnego oświadczenie: „Zrzekam się niniejszym kupna gospodarstwa we wsi Drzonów. Rezygnację uzasadniam tym, że nie mam sił do pracy, bo jestem stary, a syn jest w wojsku oraz tym, że za wysoko oszacowano gospodarstwo”.

Wolno rolnikowi nie zgodzić się z ceną, jakiej żąda Bank, wolno się też rozmyślić i mimo zawartej wstępnej umowy gospodarstwa nie kupować. Ale oczywiście w takiej sytuacji nie przysługują mu żadne przywileje osadnicze.

Prezydium PRN zaznajomiwszy się więc z oświadczeniem Władysława B. cofnęło mu zezwolenie na nabycie tego gospodarstwa. Powiadomiono go też, że zostanie rozliczony jako dzierżawca, a także, iż jest zobowiązany do opuszczenia zabudowań, ponieważ gospodarstwo jest przeznaczone do sprzedaży.

Na wieść o możliwości zakupu 6 hektarów i budynków w Drzonowie zaczęli się zgłaszać do Banku nabywcy. Zgadzała się oczywiście na proponowaną cenę. Chcieli od razu podpisać nie tylko wstępną umowę — ale akt notarialny kupna. W końcu jeden z kandydatów — Stanisław W. ze Słonego uzyskał pisemną zgodę Prezydium PRN na nabycie tego gospodarstwa.

Wtedy dopiero ocknął się Władysław B.

„Droga „Przyjaciółko”! Co mam teraz robić — pisze w liście do redakcji — czuję się bardzo pokrzywdzony taką decyzją. Po opuszczeniu tej gospodarki zostanie pozbawiony dachu nad głową”...

W swoim liście Władysław B. nie wspomina tylko o najważniejszym: że gospodarstwa sam się zrzekł.

*

W związku z rozpaczliwym odwołaniem Władysława B. Prezydium PRN w Zielonej Górze poprosiło bank, by tym-

czasem wstrzymano podpisanie aktu notarialnego z nowym nabywcą.

Tymczasem jednak zbliżają się siewy. Kandydat Stanisław W. denerwuje się i żąda, by przyspieszono sprzedaż. Dla banku jest obojętne, który z rolników nabędzie grunta i budynki w Drzonowie. Jest natomiast w ogóle ważne, by grunty przeznaczone do sprzedaży szybko przechodziły w ręce prawnych właścicieli.

Administracja rolna powiatu nie ma obowiązku zonglować decyzjami. Nawet przeciwnie. Być może Wydział Rolnictwa zechce uwzględnić, że Władysław B. choć ponieważ zrozumiał swój poważny błąd. W każdym razie decyzja (trzecia już z kolei!) przychylna dla niego byłaby aktem dużej życzliwości. Osta-

tecznie bowiem Władysław B. sam przecież jest sobie winien.

*

C O roku w przededniu siewów administracja rolna w całym kraju notuje napływ odwołań dotyczących nie uregulowanych spraw własnościowych. Stale porządkuje się jednak zaniedbane często całymi latami hipoteki gruntów. Określa prawnie tytuły własności i przekazuje wolne gospodarstwa w ręce nowych właścicieli. Poważne wyniki tych „wielkich porządków” obserwujemy na Ziemiach Zachodnich. (Bank Rolny w Zielonej Górze sprzedał dotychczas rolnikom prawie 15 tysięcy ha. W ub. roku 3 tys. ha).

Na tych porządkach, na umacnianiu zasad prawa w dziedzinie własności gruntu, wygrywają wszyscy solidni gospodarze. Muszą stracić na tym natomiast ci, którzy świadomie czy nieświadomie korzystali z różnych przywilejów, nie wykonując przy tym ciążących na nich obowiązków.

Dla tych wszystkich rolników opisana tu historia Władysława B. może być — jak sądzimy — nader pouczająca. JOTT

„Wyczytane” książki

Płyną wezwania od młodzieży o ratunek i pomoc tuż przed egzaminami maturalnymi. Im mniejsza miejscowość, w której jest szkoła, tym wezwania rozpaczliwsze. Chodzi o książki, które trzeba koniecznie przeczytać przed egzaminem, a tymczasem w bibliotece szkolnej ich brak.

Nakłady wielu książek dawno są wyczerpane. Nie można ich kupić w księgarniach. W szkolnej bibliotece nie zawsze został się bodaj jeden egzemplarz.

W Płockim Towarzystwie Naukowym zbiera się cała grupa licealistów jednej ze szkół; na zmianę głośno czytają jedyny znaleziony w tu-tejszej bibliotece egzemplarz książki „OBLICZE DNIA” Wasilewskiej. W Bieżuniu uczniowie zbierają się w klasie i w obecności wychowawczyń głośno czytają „NIEBO-

SKA KOMEDIA”, wypożyczoną z prywatnych zbiorów dyrektora szkoły.

Dyrektor, poseł Stefan Gołębiowski, polonista, poeta, wymienia cały zestaw tytułów z literatury powszechnej i polskiej wyjątkowo trudnych do zdobycia w tym roku. Nie ma „OBLICZA DNIA” — Wasilewskiej, „FAUSTA” — Goethego, „WYBORU PISM” — Hemingwaya. Trudno jest zdobyć nawet tak popularne tytuły jak „PAMIĄTKA Z CELULOZY”, „STARE I NOWE” czy „CHŁOPIEC Z SALSKICH STEPÓW”.

„Wyczytały się” — mówi dyrektor Gołębiowski. — Niektóre z nich zresztą ukazały się w małych nakładach i niekiedy bardzo dawno temu. Prawie nieosiągalna jest literatura okupacyjna obowiązująca w programach nauczania. Nieosiągalny jest też wybór nowel XX-lecia.

Polityka wydawnicza i dostosowanie jej do programów szkolnych to sprawa wymagająca na pewno rozwiązania. Maturzystów roku 1964 to jednak już nie uratuje. Jakże jest więc doraźne wyjście? Chyba tylko jedno: zorganizowanie przez szkoły zbiórki książek potrzebnych młodzieży.

W wielu domach znajdują się zapewne książki wchodzące w zakres lektury szkolnej i gorąco poszukiwane przez młodzież przygotowującą się do egzaminów maturalnych. Można by więc za pośrednictwem dzieci — nie tylko tych, które przygotowują się do egzaminów, ale i kolegów z młodszych klas — zgromadzić taką zbiorówkę. Ludzie z pewnością chętnie ofiarują książki szkołom na stałe albo wypożyczą je szkolnej bibliotece czasowo. Chodzi tylko o to, by akcję podjąć natychmiast. Matury bowiem już za pasem.

Proponujemy więc szkołom, których biblioteki nie posiadają pełnego zestawu lektur szkolnych, zorganizowanie takiej akcji na swoim terenie. (b)

Cielęta na bukaty



„Kto poddaje ubojowi cielę wbrew ograniczeniom, podlegać będzie grzywnie od 1000 do 2000 złotych. Tej samej karze podlegać będzie ten, kto odstępuje mięso cielęcą innej osobie niż jednostka prowadząca skup mięsa” — przewiduje uchwalona niedawno przez Sejm ustawa o ograniczeniu uboju cieląt. Ograniczenie uboju cieląt o wadze do 80 kg będzie obowiązywało na poszczególnych obszarach państwa, szczególnie zaś tam, gdzie pogłowie bydła jest niskie. Przeciętnie w kraju mamy 48,8 sztuki bydła na 100 hektarów. Są jednak obszary, gdzie bydła jest znacznie mniej.

Powolny jest również rozwój hodowli w większych gospodarstwach chłopskich powyżej 7 ha. Obejmują one łącznie 9,5 miliona użytków rolnych. Bydła i w tych gospodarstwach jest średnio 33 sztuki na 100 ha, podczas gdy w gospodarstwach mniejszych 52 sztuki na 100 ha. W gospodarstwach leśnych przypada zaledwie 15 sztuk bydła na 100 ha.

Zgodnie z ustawą lekarze weterynarii orzekać będą, które z cieląt mogą być przeznaczone na ubój, a które do odchowu.

Odchów cieląt ma duże znaczenie dla gospodarki mięsnej w kraju. Popatrzymy szerzej na tę sprawę.

Mamy w Polsce 6 milionów krów. Rodzą one rocznie około 5 milionów cieląt. Z tych cieląt zaledwie 900 tysięcy sztuk dożywa wieku dojrzałego i przeznaczone są na odnawianie stada, albo idą na rzeź już jako tak zwane bukaty. Natomiast przeszło 4 miliony cieląt idzie na rzeź przedwcześnie. Z tego — jak

obliczają fachowcy — prawie 3 miliony sztuk opuszcza gospodarstwa mając zaledwie parę tygodni. Ani to zysk dla rolnika, ani korzyść dla państwa. A przecież karmy dla cieląt brak...

Prawie w każdym rejonie kraju są olbrzymie i nie wykorzystane polacie zmeliorowanych pastwisk. Tak jest w rejonie kanału Wieprz-Krzna, w Bieszczadach, na Kurpiowszczyźnie, na Białostoczczyźnie, w Bydgoskiem i na Wybrzeżu. Równocześnie rozwija się przemysł paszowy, zdolny zasilać gospodarstwa w karmę w okresie tak zwanym poza-lakowym.

Mamy w Polsce 460 tysięcy gospodarstw o powierzchni od 7 do 10 ha i 390 tysięcy gospodarstw powyżej 10 ha. Razem przeszło milion. Każde

z tych gospodarstw ma możliwości hodowania bukatów. Do tego dochodzą PGR, spółdzielnie produkcyjne i resztówkowe gospodarstwa kółek rolniczych. Gdyby łącznie, na początek, spośród cieląt przeznaczonych na rzeź zatrzymać tylko milion sztuk w hodowli na bukaty ważące przeciętnie 300–400 kilogramów — wówczas zamiast 50 tysięcy ton mięsa uzyskalibyśmy corocznie 300 tysięcy ton.

Hodowla bukatów pozwoliłoby szybko zmniejszyć niedobory mięsa. Dlatego razem z ustawą o ograniczeniu uboju cieląt, którą podjął ostatnio Sejm — przygotowywane są przez rząd dalsze kroki, sprzyjające rozwojowi tej gałęzi hodowli.

Z cudzej kieszeni

Nie spodziewał się Kazimierz Pydynowski żadnych komplikacji, gdy w 1962 roku zakontraktował w Biurze

wykopali i odstawił — w największym spokoju. „Bomba” wybuchła w chwili, gdy otrzymał rozliczenie. Widniały tam czarno na białym sumy obciążające Kazimierza Pydynowskiego należnością za 500 kg superfosfatu, 400 kg soli potasowej, 250 kg azotniaku i 30 kg nasion, których nigdy nie pobierał.

Co robić? Jak to — co? Od czego instytucja, która instruuje, a także powinna bronić i chronić? Zwrócił się więc Kazimierz Pydynowski do Związku Plantatorów. Nieestety nie doczekał się odpowiedzi.

Udał się więc ze skargą do cukrowni.

Skutki nie dały na siebie długo czekać.

— Zleciliśmy MO przepro-

wadzenie śledztwa w Biurze Składu — odpowiedziało przedsiębiorstwo.

„Człowieku, możesz spać spokojnie” — pomyślał sobie nasz Czytelnik.

Alści — przedwcześnie. W ostatecznym rozliczeniu, które otrzymał za rok 1963 po prostu potracono ubiegłoroczne obciążenie za nigdy nie pobrane nawozy.

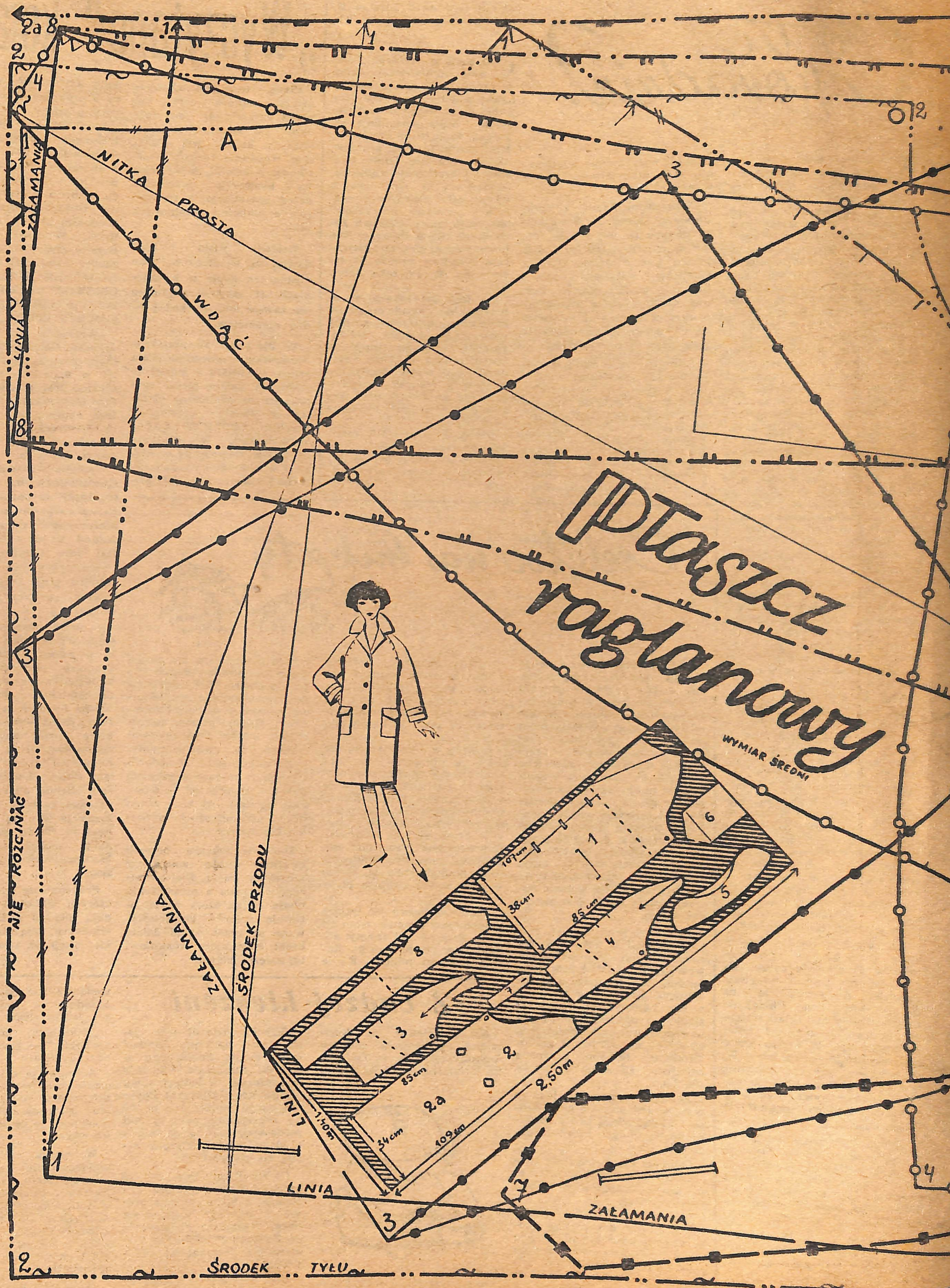
W wyniku milicyjnego dochodzenia nikt dziś nie kwestionuje faktu, że w Biurze Składu popełniono nadużycia. Ale dlaczego płacić ma za nie nasz Czytelnik, a nie odpowiadająca za pracę Biura Składu cukrownia — pozostaje niezbadaną tajemnicą tej ostatniej.

Jesteśmy pewni, że raz jeszcze rozpatrzy ona, i w sposób właściwy załatwi, słuszną skargę naszego Czytelnika.



Składu Cukrowni — w Baboszewie w powiecie płońskim — jeden hektar buraków cukrowych.

Buraki posiał, pielęgnował,

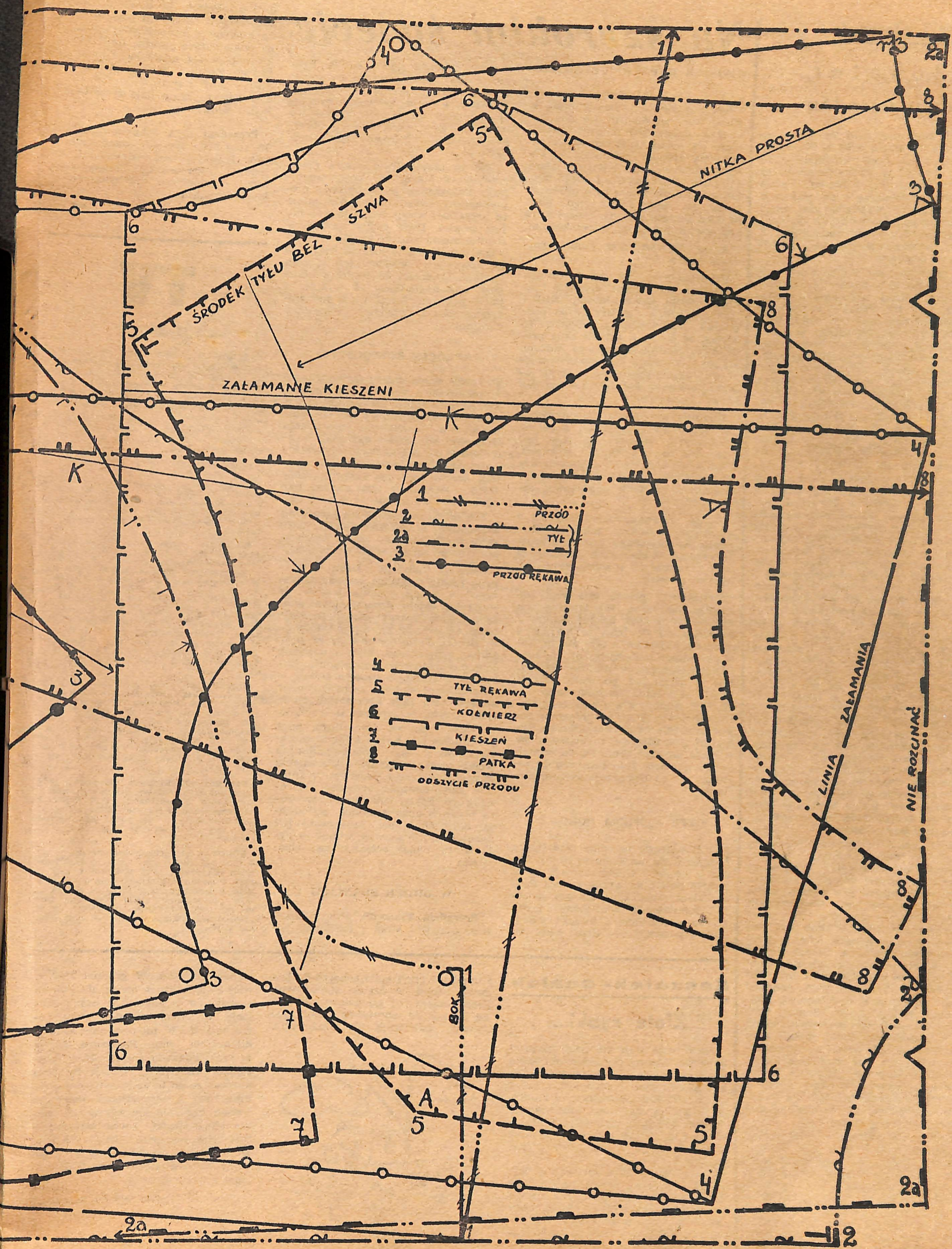


Podajemy wykroj wiosennego płaszcza z raglanowym rękawem, wymiar średni. Sportowy płaszcz jednorzędowy z nakładanymi kieszeniami,

może być noszony bez paska lub z paskiem. Kołnierz wykładany z kłapkami.

Rękaw raglanowy ozdobiony patką.

(Należy pamiętać o znaczeniu znaków przodu i tyłu)



o dokładnym za-
spotkaniu, przy łą-
z rekawem, gdyż
wdane).

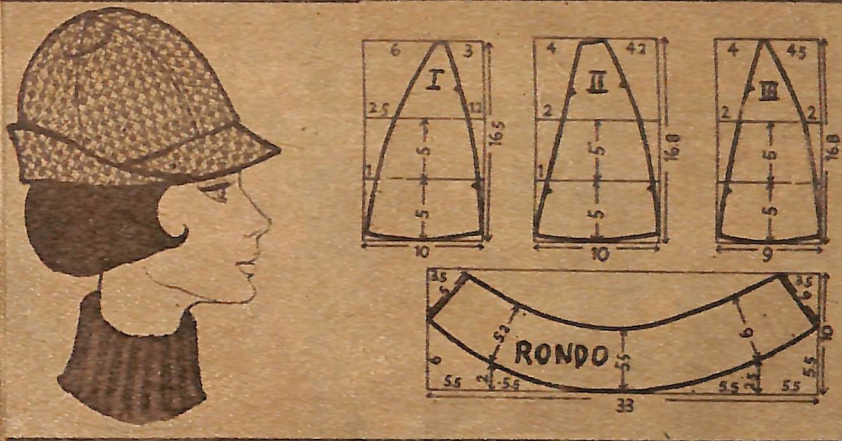
Na płaszcz krojony z podanej
przez nas formy potrzeba 250 cm ma-
teriału na 140 cm szerokiego. Pod-
any model płaszcza może być wyko-

nany z wełny, rypsu, lub popeliny
płaszczowej.



U góry: Z tych foremek w zakładzie w Żulawkach wyjdą pełnotłuste sery, tzw. trapistów.

Po lewej: Pracownica uruchamia wirówkę w zakładach w Cedrach.



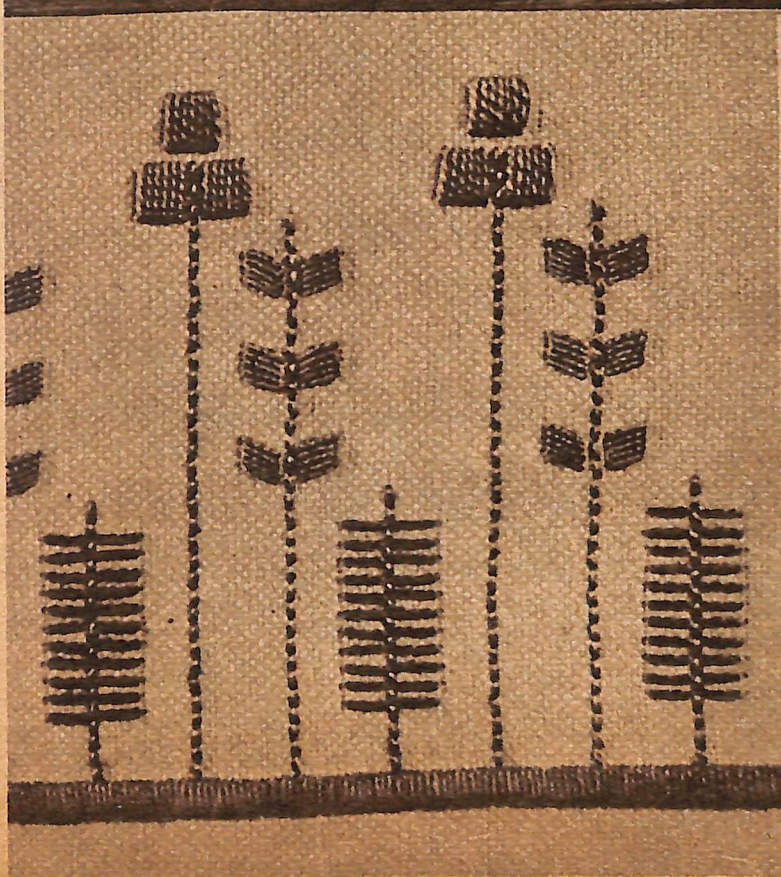
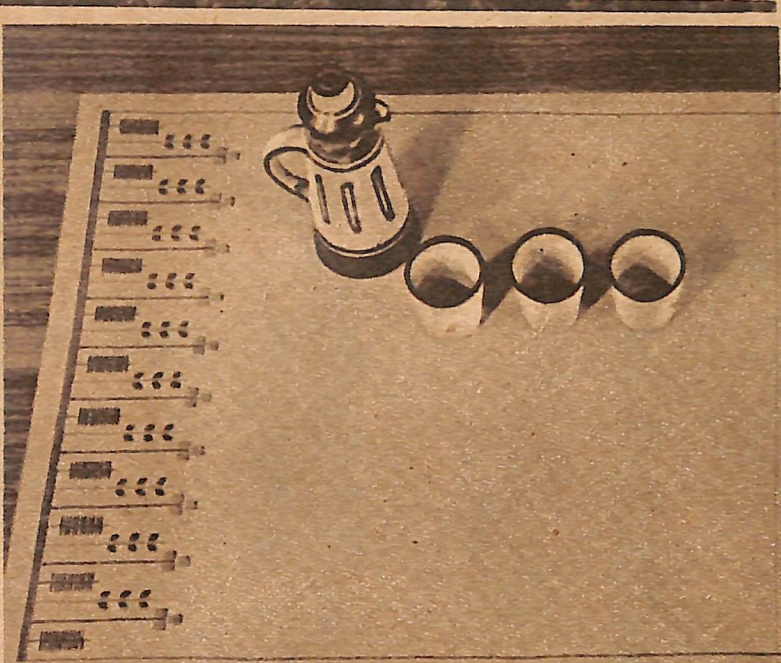
KAPELUSIK

Klasyczny „mały kapelusik” — będzie ładnie wyglądał przy nowym kostiumie lub płaszczu. Uszyć go możesz sama szybko i bez trudu. Specjalnie szykownie wygląda z wełny w kratkę lub pepitę. Dyskretny i twarzowy o formie kapelusza męskiego. Na wykonanie potrzeba: 0,45 m materiału o szerokości 140 cm, białe płótno lub surówka do usztywnienia, podszewka i 60 cm wstążki rypsowej.

Wykonanie: Trzy kliny z materiału i podszewki wyciąć podwójnie nie zapominając o dodaniu na szwy. Pod wszystkie części podłożyć płótno i następnie zszyć ze sobą po trzy boczne kliny (płótno ująć w szwy). Uważać na punkty spotkania, zaznaczone na każdym klinie (małe trójkąci). Szwy oddzielnie rozprasować i po obydwu stronach obok szwa wystębnować. Następnie wystębnować również szew przebiegający środkiem. Rondo wykroić podwójnie w materiale i z zapasem na szew, podłożyć płótno, tylny szew środkowy zszyć, odwrócić na prawo i przestębnować rondo kilkakrotnie w odstępach pół centymetra. Zapas na szew u dołu główki założyć i umocować (pod nim rondo) układając środek ronda na środek główki a następnie przystębnować wąskim rantem. Wreszcie sześć części podszewki zszyć, obrębić, wczepić do kapelusza i obszyć u dołu wstążką rypsową (zszytą uprzednio na obwód 56—57 cm). Po skończeniu rondo wyprasować.

SERWETKA

Podany motyw wykonany jest grubym kordonkiem na szarym płótnie. Kolory: czerwony i czarny. Większe płaszczyzny imitujące kwiaty, wykonane są ścięciem atlasowym, lodyżki stebnem. Brzeg serwetki stanowi szeroki obręb.



Wiosenne Kwiaty

Całe mieszkanie ożywa, odświeża się i... uśmiecha do Ciebie, gdy przyozdobisz je świeżymi kwiatami. Jedynymi z najmilszych na wiosnę i — najtańszych, są obsypane kwiatami, czy młodymi listkami, gałązki z drzew i krzewów.

Np. nowoczesne wnętrza świetnie ozdabia rosochata gałązka kasztanu, rozwijając najpierw wielkie błyszczące pąki, a potem rozczapierzone palce swoich liści.

Pełne wiosennego uroku są kwitnące gałązki tarniny czy migdałowca. Jedne wyglądają jak oblepione białą, inne jak różową pianką. Gałązki forsycji oblepione żółtymi kwiatkami, wyglądają równie pięknie ustawione w wazonie na podłodze, jak i jako króciutkie patyczki, leżące w płytkej misce, na środku stołu.

Cała sztuka zmuszania gałązek do kwitnienia, czy rozwoju pąków liściowych, polega na: ostrym przecięciu — podłużnie gałązek i trzymaniu tych pędów w temperaturze pokojowej, w ciepłej wodzie i zmienianiu tej wody przynajmniej co dwa dni. (Także i podlewanie roślin doniczkowych ciepłą wodą — do 25 stopni C — przyspiesza ich kwitnienie).

*

Może gdzieś na strychu, w piwnicy, w zakamarkach domu, trzymacie stare cebulki hiacyntów, tulipanów, krokusów, konwali? Zmuszcie je teraz do kwitnienia. Hiacynty najlepiej się rozwijają bez ziemi, w wodzie, w specjalnych wazonach, jak na ilustracji. Wodę odlewać i nalewać nie wyjmując cebul.

Konwale lubią ziemię torfiastą, ale zaowocują się nawet mchem. Krokusom wystarczy żwir, piasek, drobne kamyczki. Tulipanom można dodać trochę ziemi i trochę mchu. Wszystkie te cebule wypuszczą liście i pęd kwiatowy, byle miały ciepło i wilgotno. A zakwitną w kwietniu, maju. Lepsze to, niż miałyby się zmarnować. A w sierpniu wysadzicie je do gruntu w ogródku, by kwitły na przyszły rok, na wiosnę.

Roślinami cebulowymi warto się opiekować i warto je sadzić w ogródku, bo są najbardziej długowieczne z bylin. Takie np. narcyzy i śnieżyce dożywają do 70 lat w gruncie, a inne — jak lilie, krokusy, cebulice, konwale itp. do lat 50 i to rosnąc wiernie w jednym miejscu, bez przesadzania. Taką wierność roślin warto uszanować, tym bardziej gdy co roku tak pięknymi obdarzają nas kwiatami. (I.G.)

